

To straszna historia. „Codziennie o piątej” w Teatrze Miejskim

Ślusznie powiedział Boy, że streszczać farsę francuską byłoby zadaniem równie niewdzięcznym, jak wykladać ex cathedra technikę pocałunku. Nie streszczajmy więc wesołej krotochwili
„Codziennie o piątej” - tak zaczyna p. Maria Bechczyc-Rudnicka, kierownik literacki Teatru Miejskiego swój wstęp do Programu. Wstęp, wydrukowany na osobnej kartce papieru i włożony do starego programu, w którego wnętrzu zaklejono osoby „Daru poranka” karteczką zawierającą osoby nowej, równie jak tamta niepotrzebnie wystawionej sztuki. I za taki Program bierze się od widza tylko 30 zł. Właściwie nie jest to drogo, bo skoro z tego samego programu można poznać cenne omówienia dwu wysoko wartościowych sztuk, stanowiących kapitalny dorobek Teatru Miejskiego w mijającym sezonie, Program powinien kosztować przynajmniej 60 zł! Teatr Miejski nie chce jednak paskować i zadowala się ceną pojedyncza za podwójny Program.

Żałować należy, że p. Maria Bechczyc-Rudnicka nie posłuchała Boya i wesołą krotochwilę jednak streściła, względnie streścić usiłowała. Bo jakże? Program i bez streszczenia. Bez rozprawiania o problemach społecznych, „w związku z farsą gatunku „Codziennie o piątej”, w której jednak taki problem i to bardzo aktualny znajduje się i nie można oprzeć się jego wrażeniu?” - Zaiste, trzeba mieć wiele odwagi cywilnej i zbyt mało poczucia śmieszności, by napisać taki wstęp do takiego Programu, takiej sztuki.

Jeżeli ten wstęp i to całe przedstawienie nie są świadomymi kpunami z publiczności, do czego Teatr Miejski nie ma najmniejszego prawa, - w takim razie wystawienie francuskiej farsy jest zwyczajnym skandalem. Skandalem z serii kilku innych, których Teatr Miejski nie oszczędził nam w mijającym sezonie, a które podkopują i przekreślają ów kredyt moralny, jakim Teatr ten cieszył się u lubelskiego społeczeństwa w poprzednich sezonach.

Wybór tej wierutnej bzdury, wulgarnie dowcipnej a moralnie szkodliwej, źle wyreżyserowanej i jeszcze gorzej zagranej posiada swoją głęboką wymowę: świadczy dobitnie o „artystycznych” ambicjach dyrekcji, kierownictwa literackiego itd. Ale świadczy jeszcze o czymś, a mianowicie o tym, jakie są skutki tego, że w Lublinie jest tylko jeden Teatr, pod niewłaściwym kierownictwem. Linia rozwojowa tego teatru rysuje się dzisiaj bardzo wyraźnie: od źle wystawionych „Dwu teatrów” - Szaniawskiego, do mniej więcej cyrkowego poziomu „Codziennie o piątej”. Jeżeli ta właśnie farsa ma być imprezą w tym sezonie, nie trudno sobie wyobrazić, jaki będzie początek sezonu nowego. Ze swojej strony proponuję otworzyć sezon 48/49, - dla konsekwencji, - farsą Zbierzchowskiego „Kłopoty pana Złotocholskiego”. Tam jest również problem społeczny (!), którego „wrażeniu trudno się oprzeć”.

Równie trudno przejść od uwag ogólnych do szczegółowych, nie wiadomo bowiem, od czego

zacząć, by starczyło nerwów i papieru na podkreślenie wszystkich błędów, które złożyły się na złą całość, przypominające nieszczęsne „Niebo bez gwiazd”.

Zacznę słowami żony dyrektora banku (początek III aktu): „Tobie nie zależy na 300 tys. franków...” - Oczywiście, dla bankiera suma taka to fraszka, ale dla widza teatralnego trzysta złotych za bilet, to kwota kolosalna, szczególnie gdy wydaje ją po to, by patrzeć choćby na tego bankiera, który stremowany do ostatecznych granic i nie znający tekstu bełkoce i klepie się bez przerwy po kolanach, biodrach i udach, jak gdyby co najmniej należał do cechu bednarzy. Raz tylko stremowany dyrektor banku ma całkowitą słuszność, kiedy to na początku aktu III powiada: „To straszna historia”!

Tak jest. Straszna to historia i dlatego właściwe czynniki powinny zająć się nią i nie dopuścić, by tego rodzaju straszne historie działały się na scenie któregośkolwiek polskiego teatru. Te same czynniki powinny zmusić reżysera i aktorów do przestrzegania dwu przynajmniej kardynalnych zasad: 1.) poprawnej polszczyzny i 2.) opanowania tekstu przez aktorów.

Ze sceny polskiego teatru muszą zniknąć tego rodzaju niechlujstwa językowe, jak: „Nie chce być trzeci i niepożądany” (zamiast „trzecim, niepożądany”) - „Będę musiał poszukać nową przyjaciółkę” (zamiast „nowej przyjaciółki”), - „Panią nic nie obchodzi” (zamiast „pani”), - „Nic nie stoi na przeszkodzie” (zamiast „nic nie przeszkadza”), - „Okropniejsze informacje” itp. A z afiszów i Programów dowiadujemy się w ciągu całego sezonu, że Teatr Miejski ma kierownika literackiego.

Za bigos tekstowy, który tak drażnił w czasie premiery, odpowiada i reżyser i aktorzy. Taki stopień opanowania tekstu dowodzi z jednej strony o pośpiechu w przygotowaniu tej kompromitującej pozycji repertuarowej, z drugiej zaś strony niedbalstwa i lekceważenia publiczności. Na ostatniej premierze było jej mało, będzie jej coraz mniej, jeżeli teatr nie zawróci z niewłaściwej drogi.

Zamiast „aktualności” w formie wstawek dotyczących niektórych osób z teatru i spoza teatru, a przypominających łobzowskie dowcipy z krakowskiej „Bajadery”, lepiej było wyuczyć się właściwego tekstu i w czasie premiery nie płeść bez ładu i składu.

W przedstawieniu bierze udział kilku dobrych aktorów, niektóre ich sceny są aktorsko zupełnie dobre, a werwa Michnikowskiego ratuje publiczność przed zaśnięciem na tej „arcywesołej” krotchwili, - ale o to właśnie chodzi, że dobrych aktorów używa się do tego rodzaju bzdur. Rażący to przykład marnotrawstwa, za które ktoś musi przecież odpowiadać, a skoro odpowiadać nie umie, czy nie chce niechże takiej odpowiedzialności na swoje słabe barki nie bierze.

Zakończenie sezonu teatralnego 47/48 farsą „Codziennie o piątej” skompromitowali się przede wszystkim: dyrektor Teatru i jego kierownik literacki. Jedynym dla nich sposobem rehabilitacji jest – rezygnacja z zajmowanych stanowisk.